Rok I. Staszów, 28 marca 1937 r. Nr. 3.

MŁODE PIÓRA

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum w Staszowie.

Cena numeru 25 gr.

19 Marca.

Dzieje pracy Józefa Piłsudskiego i związanych z nią przekształceń wewnętrznych, odbitych w długim ciągu wykonanych dzieł przeszły już w mit najwyższego heroizmu wobec życia i stały się wyrazem wielkości przez sam fenomen niezwykłego charakteru. Dzisiaj gdy miast wesołego łopotania flag biało-czerwonych, w ciszy, żałobie i skupieniu pochyliliśmy się nad wspomnieniem o wielkim samotniku z Belwederu, należy zdać sobie jasno sprawę, jaką rolę odegrał Józef Piłsudski w dziejach narodu polskiego. W bujnym żywocie Wielkiego Marszałka, wyraziły się wszystkie jego objawy. Najsilniejsze uspołecznienie, przedziwny czar pociągania ludzi, dar inicjatywy, nieustanne obejmowanie myślą całości precesów społecznych. Praca Marszałka czerpała siłę sama z siebie i w ruch w prawiała wszystkich, była sercem bijącym najsilniej, udzielającym życia słabnącym współpracownikom.

Jako kontynuator czynów Chrobrego utwierdził państwo polskie po raz wtóry z mgławicy, która po stuletniej niewoli zarysowała się śród gromów wielkiej wojny.

Dla patrzących z oddalenia będzie rósł w oczach jako pełne w cielenie bohaterstwa. Wieki miną a następujące po nas pokolenia będą jeszcze studiować pozostałe po nim dzieło, aby zrozumieć tę najgłębszą tajemnicę twórczego ducha polskiego.

W patrzeni w Jego oczy mówmy razem z Nim „zawsze myślę, że tak żyć jak żyłem, warto było jak warto było ten ból i zmęczenie przezwyciężać, jak przezwyciężałem."

Redakcja.

Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

W ciemności pogrążona była ziemia, a życie smutnem było. Wieki mijały, wieki-których zmagania rzucone na karty historji są dziś świadectwem ku prawdzie. Posągi Egipcjan żyjących fetyszem widzenia, słyszenia i czucia, ludów Iranu zwyciężających w walce z materją, Greków i Rrzymian stowarzyszonych w zwycięstwie z bogami-ideałami swych myśli, to pasmo snujących się w pamięci bogów i nam dodających siły. Nieśmiertelna spartanka matka przygotowójąc na wojnę syna, podawała mu tarczę ze łowami: „Z nią lub na niej". Słowa te miały moc przysięgi. Stawały się bolesną myśli młodzieńca i wolę jego serca. Siedzi więc czujnie strzegąc powierzonego ideału wierności. Historją czy „nauką" są dla nas te pleśnią niepamięi zasnute czasy, dla nas ludzi w XXw. wegatujących. Czyż można się nauczyć tego co inni czynili? Historja nie uznaje, nauka poprzez nie kroczy, a nieustannie dręczy myśl rzeczywistości naszej ideał nieuchwytny poniewierany, wzgardzony. Spójżmy w oczy terazniejszości, ale tak bez zastrzeżeń, obejmijmy ją własną duszą. I cóż? Bladość i pustka.—A czy zawsze tak było? Tajnikiem wszelkich poczynań jest w najlepszym razie „po równo" Zamknięta dusza i pojęta jako abstrakcja od której należy się odwrócić jest poza nami. Pionki bezduchów planują, realizują lub kryją się nie wiedząc dlaczego i ku czemu dążą - uwarzając świat za zaniedbany. Należy się obawiać, że cywilizacja przez zmechanizowanie człowieka rozdarwszy wszystko „po równo" zostanie skarana bezwładnością prądu ślepego i bluźnić zechce jawnie. Jedynie wypracowywaniem światopoglądu i czuwaniem nad jego ciągłą rewizją, można ostać się na drodze jasnego czynu, co „rozwesela młodość" Prostota a nie zubożanie jest podstawą rozwoju i bogacenia się społeczeństwa. A którzy naprawdę pragną dziś działać znajdą w swym otoczeniu iskry, które przy woli rozprzestrzeniania własnej duszy rzucą im refleks światłocieni na życie. Ci pójdą śmiało wierząc w słowa Zmartwychpowstałego Chrystusa „Ufajcie Jam zwciężył świat". I nie zawiodą się.

O nowe drogi harcerstwa w szkole.

Harcerstwo jest organizacją o zrębie ideowo-wychowawczym, powinno być uważane za cenny środek pomocniczy. w wychowaniu. W umiejętnych rękach nieraz decyduje o ukształtowaniu się dusz dziewcząt, chłopców-harcerzy, a wybitnie wpływa na ogół młodzieży szkolnej.

Harcerstwo powinno i może być elitą szkoły, ale trzeba, aby szkoła naprawdę je poparła i zrozumiała. Jeżeli drużyna będzie tylko tolerowana, albo nawet traktowana z bierną życzliwością lub też pozostawiona sama sobie, najczęściej wyników nie da i łatwo będzie uznać jej zbędność.

Nowa ustawa o ustroju szkolnictwa w Polsce, jest wielkim krokiem naprzód w lepszym dostosowaniu wychowania do potrzeb naszych czasów. Opiera się nie tylko na polskiej racji państwowej, lecz także na podstawach socjologii i psychologii wychowania.

Za ustawę przyszły nowe programy szkolne, które jaśniej i wyraźniej sprecyzowały obraz nowej szkoły.

Punktem wyjścia dla programów było obok ideologii polskiej państwowości—polskie dziecko. Dlatego nowa szkoła, jeżeli popatrzymy na nią przez te programy stała się dla nas nauczycieli, nie tylko dostosowana do polskich potrzeb społeczeństwa i polskiego dziecka, ale także bardziej harcerska.

Ideologia nowej szkoły polskiej i harcerstwa jest spólna, wyrosła z polskiego ruchu niepodległościowego i opierając się na nim skrystalizowała się według ideału jaki nakreślił po wojnie światowej myśli wychowawczej Pierwszy Marszałek Polski Józef Piłsudski.

Zrębem ideologii tej jest rozwijanie osobowości wychowanka w dziedzinie religijnej, moralnej, umysłowej i fizycznej, czyli wychowanie dzielnego i prawego człowieka, oraz idea naczelna płynąca z polskiej racji stanu, wychowanie świadomych swych obowiązków i twórczych obywateli.

By harcerstwo na terenie szkoły mogło spełnić zadania, musi iść pionierską drogą, dla przyspożenia obywateli, dla których dobro ojczyzny, najwyższym celem. Musi szukać oparcia o tych, którzy będą mogli poprzeć usiłowania drużyn harcerskich, z tytułu nie jedynie swego majątku lub stanowiska, ale pewnych „morale", ludzi, ludzi, którym na sercu leży wychowanie młodzieży o granitowych charakterach.

Harcerstwo musi szukać przyjaciół wśród ludzi wielkich duchem i umysłem, którzyby w organizacji byli moralnymi kierownikami, w społeczeństwie słowem i piórem idee harcerskie głosili.

Harcerstwu wogóle a w szczególności szkolnemu, zarzucono konserwatyzm, pozostawanie przy starych formach, nakreślonych przez twórcę Baden Powella i nieszukanie niczego, co pozwoliłoby na ekspandowanie i ugruntowywanie się poza terenem utartych szlaków. Ten konserwatyzm jest właśnie dowodem wiernego stania przy znaku: krzyżu i lilii harcerskiej, w myśl starych postulatów: człowiek mądry a zarazem silny, człowiek silny, a zarazem rycerski; a więc: nietorujący sobie w życiu drogi kosztem innych słabszych, a jednocześnie umiejący w życiu zająć miejsce, na którym jego praca będzie wydajna i pożyteczna, czyli umiejący zrobić karierę, w szlachetnym znaczeniu tego słowa, człowiek o pełnej rozwiniętej osobliwości, a umiejący tę osobliwość zespolić w pracy z innymi i dla innych, a więc człowiek karny, choć aktywny i krytyczny; uspołeczniony bez utraty swych indywidualnych bogactw, odnajdujący swe szczęście w służbie dla drugich i dla idei.

Jasnym jest, że ten ideał harmonii nie pokrywa się z tą szarością i szablonem licznie wegetujących organizacji. Jedynie harcerstwo szkolne powołane jest do roli przekazywania tych wartości, które czarują nie tylko młodzież ale i w wysokiej mierze starsze społeczeństwa.

Z uświadomienia sobie roli dziejowej, którą ruch harcerski ma możność a przeto i obowiązek spełnić a zarazem ze zdania sobie sprawy z niebezpieczeństw, które w każdej chwili harcerstwu grożą musimy rozpocząć ofenzywę nie wszerz, ale wgłąb, tworzyć zwarte gromady, mieć ścisły kontakt z życiem, ze społeczeństwem, brać czynny udział w jego różnorodnych przejawach, musi iść drogą pionierów przez puszczę marazmu i warcholstwa stać jako jedna z pierwszych organizacji na straży konsolidacji całego narodu, musi mieć jak mówi Marszałek Józef Piłsudski w swoich rozkazach do narodu „ambicję własnymi siłami tworzyć nowe wartości polskie".

Mgr. Kazimierz Świtalski.

Straż przednia.

Zespół Straży Przedniej na terenie Staszowskiego gimnazjum powstał we wrześniu 1934 r. Został on zorganizowany przez dwóch uczniów, którzy na obozie w Hermanicach na Śląsku przeszli wyszkolenie strażowe. Oni to na rok szkolny 1934/35 objęli rolę kierowniczą w zespole. W pierwszym roku istnienia do zespołu należało 6, a w drugim półroczu 8 uczestników—uczniów klas VI i VII. W następnym roku szkolnym liczba ta wzrosła do 9 uczestników, mimo, że 3 uczniów wystąpiło z zespołu. W bieżącym roku szkolnym zespół liczy 11 uczestników, obejmując klasy III i IV nowego, oraz VII i VIII dawnego typu. Wyszkolenie strażowe na obozach letnich przeszło dotychczas 4 uczestników, a mianowicie: Błasiński i Kossowski w Hermanicach na Śląsku w 1934 r., Błasiński i Wojtaś w Krempnej na Łemkowszczyźnie w 1935 r. i Brusznicki w Szymbarku koło Gorlic w 1936 r.

Praca zespołu w myśl założeń ideowych Straży Przedniej idzie w dwóch kierunkach—samokształceniowym i realizacyjnym. Podstawą pracy samokształceniowej są: Instrukcja Ramowa Straży Przedniej. Wskazania ś. p. Adama Skwarczyńskiego, założyciela i pierwszego prezesa S. P., oraz Pisma Wybrane Marsz. Józefa Piłsudskiego. Praca realizacyjna zespołu obejmuje niemal wszystkie organizacje uczniowskie, skupiające się na terenie Samopomocy Uczniowskiej, zaś w ostatnich miesiącach rozpoczął zespół pracę realizacyjną na terenie pozaszkolnym, w świetlicy Związku Strzeleckiego. Z ważniejszych prac realizacyjnych o charakterze ogólniejszych wymienić należy: a) zorganizowanie i przeprowadzenie na terenie gimnazjum zbiórki czasopism i książek dla świetlic na Łemkowszczyźnie; b) zorganizowanie zbiórki książek dla biblioteki szkoły powszechnej w Dobrej k. Staszowa, oraz wykonanie i oddanie pomocy naukowych do gimnastyki tejże szkole.

Odprawy zespołu mają charakter samokształceniowy i organizacyjno-sprawozdawczy. W r. szk. 1934/35 odbyło się ogółem 37 odpraw, w r. 1935/6—27, a w bież. roku szk.—12. Podkreślić należy, że oprócz Dyrektora Gimnazjum na dwóch odprawach był p. wizyt. Chorbacki, a na 3 odprawach Naczelnik Okręg. Wydz. Wykon. S. P. prof. Wład. Marzec z Krakowa. Obaj wymienieni nie szczędzili uczestnikom zespołu cennych rad i wskazówek, dotyczących głównie pracy realizacyjnej, Należy również nadmienić, że zespół i jego praca na terenie gimnazjum doznaje życzliwej opieki Dyrektora Gimnazjum i Koła Rodzicielskiego pod przew. p. inż. Zaporskiego.

Zespołem od chwili jego powstania opikuje się podpisany nauczyciel tut. gimnazjum.

O celach i zadaniach, oraz pracy samokształceniowej i realizacyjnej zespołu pomówimy w następnym numerze.

Jan Wróblewski
instr. zespołu.

Zapóźno...

O kiedyż wrócisz złocisty śnie,
Któryś odleciał w te smutne dnie,
Wołając w dal nieskończoną próżną:
Jóż jest zapóźno!
Już jest zapuźno!
Złocista maro tych jasnych dni
O wróć! o wróć!-przypomnij mi
Te chwile cudne, zgasłe i złudne
I przestrzeń wołać w tę dal smutną próżną
Że już nie wrócisz, żo już zapóźno!
O burzo życia nawałnico sroga!
Kresie udręczeń, kręta zguby drogo!
Która przez wieki ryjesz rany, duszę
Jeśli odejdziesz?—czy cię kto usłyszy?...
Wołając w dal nieskończoną, próżną,
Że już odchdzisz, boś przyszła zapóźno!

Ż a l.

O sny młodości!
O sny rozkoszy!
Owiane czarem młodzieńczych lat,
Bólem przeszyte, smutkiem rozdarte,
Niszczą ostatni nadziei kwiat.—
O płacz potępiona!
O płacz zgubiona duszo—,
Rzucona w głębinę szarych dni
Ostatnia iskra twoja kona,
Która ci sny, o szczęściu sni—,
I próżno czekać na szczęścia godzinę,
Która wybiła odchodząc w dal,
A w sercu jęczy cichy głos
To żal... to żal...!
To tylko żal!

Zofja Stefińska.

Słowo o rozmachowie.

Mnóstwo tu piękna w tej wielkiej mieścinie!
Ogrom jej życia mieści się w fantazji,
Tysiąc kryteriów z intuicji płynie
I tworzy „cuda” przy każdej okazji.
Poco wynalazcy, poco tu uczeni;
Gdy bez nich także „telewizja żyje”,
A radiofonja, której nikt nie zmieni,
Tworząc świat baśni, uroku nie kryje.
I „bzdrutowa“ stała „telegrafia“
Wytwarza mity—aj co to za heca!
Nie głowa na to ani kaligrafja—
Czary poezji — isrna stara Grecja!

„Romantyk“

Idea pracy.

Bardzo poważne jak również interesujące zagadnienie życiowe poruszył w Nr. 2 „Młodych Piór” kol. Z. S. kl. VII w pojęciu idei pracy.

Jest rzeczą niewątpliwie przekraczającą siły umysłowe ucznia szkoły średniej właściwe opanowanie i rozwinięcie tematu, odpowiadającego potężnym umysłom nielicznych jednostek (epoki współczesnej) niemniej jednak próba opracowania „Idei pracy” przez kol. Z. S. ma swoje realne uzasadnienie i wydaje się—jest wcale na miejscu.

Zasadniczą jej zaletą jest to, że obserwuje i skierowuje myśl czytelnika w odpowiednią dziedzinę rozważań. Samo zaś opracowanie zagadnienia (na modę romantyzmu) jest—zdaje mi się—daleko od istoty przedmiotu. Właściwe, pojęcia idei pracy kol. Z. S. nie ujął, chociaż związał go (niby) z wartością działalności patriotycznej—z wartością społeczną (socjalną).

W artykule Jego jest trochę emocji, ale brak rozsądku, przemyślenia—brak poważnego liczenia się z rzeczywistością. W uczuciowo patriotycznym przedstawieniu pewnych działań idealistycznych Narodu Polskiego razi zbytnia śmiałość piszącego, będąca jakoby wyrazem braku zrozumienia i uszanowania wielkości czynów Starszych, na polu ofiarności dla Państwa, w stosunku do nicości prawie czynów pokolenia wyrastającego już w wolnej Polsce (n. p. „zostaliśmy spadkobiercami całej „Poloniae Restitutae”, dla której odzyskania toczyła się Wasza Krew”. Podobnie w zdaniu, zamiast dajmy nato—musimy więc stawać się godnymi spadkobierców...—kol. Z. S. mówi: musimy więc okazać się światu godnymi spadkoaiercami...)

Kol. Z. S. pomylił się także w ocenie obywateli Rzeczypospolitej i proroctwa Jej przyszłości, bo nieprawdą jest, że Rzeczypospolita złożona jest z „egoistów” i ludzi, „którzy jej nic poświęcić nie chcą„.

Choć daleki jestem od optymistycznego poglądu na rzeczywistość polską, to jednak widzę wartość społeczną—wartość narodową, poważnej większości obywateli polskich, tak pod względem jakościowym jak i ilościowym i niezgodzę się na pogląd kol. S. Z.

Powyższym omówieniem artykułu kol. S. Z. chciałbym bardziej zainteresować „Ideą pracy” nietylko kol. S. Z., ale możliwie szerokie grono kole-

żeństwa, bo w idei pracy mieści się idea życia—idea i kierunek postępowania człowieka. Chciałbym również przypomnieć (zmodyfikowane) twierdzenie pozytywistów, że młodość „rozumna szałem" jest często bezsilna,—chciałbym poprostu pobudzić Koleżanki i Kolegów do dyskusji— do wypowiadania swoich sądów na temat idei i wartości człowieka—chciałbym wskazać nietylko poważną dziedzinę zainteresowań, ale także przyjemną rozrywkę umysłową w chwilach wolnych lub przygnębiających. Wracając jeszcze do tematu, wypowiem jeszcze swój pogląd na ideę pracy wywnioskowany na podstawie pewnych zdań polskiech literatów i myślicieli jak: Norwida, Prusa St. Brzozowskiego, Supińskiego i innych.

Ideę pracy pojmuję jako myśl przewodnią, jako duchową kierowniczkę, jako właściwą formę nadającą społeczną (narodową) wartość naszemu realnemu (fizycznemu) kształtowtniu rzeczywistości.

Od siły jednostki pracującej zależy produktywność pracy, od idei— jakość pracy i jej produkcji. Pojęcie pracy i jej idei pozostają do siebie w takim stosunku jak materia do ducha. Nie zatem sama idea pracy, ale praca, siła i idea są wyrazem wartości. Zalety te naszych poprzedników stworzyły byt realny wolnemu niepodległemu Państwu Polskiemu.

S. K.

Obowiązkowość bohaterów Żeromskiego.

Kiedy przyjrzymy się uważnie wybitniejszym postaciom niektórych utworów Żeromskiego, to uderzy nas jakiś tragiczny rys, który jest śladem zmagania się ludzkiego pragnienia szczęścia osobistego z wyższym nakazem, narodowym, społecznym, czy etycznym. Twardy zakon wewnętrzny zmusza je iść skalistą ścieżką samozaparcia i poświęcenia, na której dla drugiego człowieka miejsca niema; twarda dola tych surowych ludzi, nad którymi zawisł los określony przez Mickiewicza („szczęścia nie znalazł w domu, bo go nie było w ojczyźnie"). Ci wielcy samotnicy, czy im na imię Judym, czy Rozłucki, czy Sułkowski, czy Przełęcki przykuwają nasze oczy przedewszystkiem swą bohaterską postawą wobec życia, zniewalają nasze serca ukochaniem idei, mocniejszym niż śmierć, niż powaby życia. Zacznijmy od Judyma. Ten syn szewca, opanowany jedyną, przemożną chęcią służenia najbardziej pokrzywdzonym jednostkom, czuje się odpowiedzialnym za zło czyhające na dzieci proletariatu, czuje i wie, że nikt inny tylko on musi zniszczyć te potworne budy, karykatury ludzkich mieszkań, siedliska chorób i zbrodni, on jeden, gdy głos jego najtajniejszy mówi mu, iż ten górnik, ten robotnik fabryczny, ten nędzarz z czworaków chłopskich, to jego brat, to siostra najbliższa. Wpleciony własną swą wolą i klątwą swego pochodzenia, w ten łańcuch wszelkiego cierpienia i krzywdy, nie może myśleć o osobistym szczęściu, nie może posiadać żadnej rzeczy, „którąby przycisnął do serca z miłości, dopóki z oblicza ziemi nie zniką te podłe zmory". Nikt go przed spełnieniem obowiązku nie powstrzyma. Ze strasznym, potwornym wprost bólem wyrywa z serca miłość oo Joasi, odrzuca bezcenną wartość, jaką jest serce duszy siostrzanej, zdolnej zrozumieć jego upadki i wzloty, bo czai się w duszy jego straszniejszy wróg od tego, któremu na imię krzywda i wyzysk ludzi—jego gorsze „ja„, gotowe zwichnąć przedsięwzięcie jego życia"

„Zakiełkuje we mnie przyschłe nasienie dorobkiewicza"—mówi do Joasi. Woli więc po bohatersku uprościć sprawę i przeciąć łączący go z Joasią węzeł. Nie to, że staje się rozdartą sosną, nie, że chwilowo czuje, jakby drapieżną nienawiść do tego świata nędzy i bólu, który takich ofiar od niego wymaga. Już się nie cofnie. Bohaterski młodzieńczy poryw, za którym nie wiadomo jeszcze, co się ukrywa; zwycięstwo czy porażka, ale postawa wobec życia już zdecydowana i przyszły kształt w ogólnym zarysie widoczny.—Rozłucki, postać tragiczna,—jednak tak silna, że pogadza miłość Tatiany z nakazem świętego obowiązku i przetwarza miłość i piękno na społeczne wartości, nie w nim więc leżała przyczyna i konieczność tragedii, lecz w umiłowanej przezeń kobiecie, w jej niezdolności zrozumienia idei ofiary i poświęcenia, w jej psychice, obcej mu. chłonącej z życia tylko radość i słońce. Mocował się czas jakiś z duszą Tatiany, o której przemianę błagał Boga w świątyni Notre Dame, lecz przekonał się, że modły jego nie mają mocy nad duszą Tatiany. „Duszy mojej nie mogę ci oddać... nie mogę ci nawet pokazać puszy mojej; bo tyś się urodziła jako córka rosyjskiego generała, a ja urodziłem się między polskimi grobami". Cudowna złuda świętej miłości, braterstwa dwojga dusz, zachwyconych tą samą prawdą, zamajaczyła innemu bohaterowi obowiązku,— Sułkowskiemu idącemu w dalekie kraje „patrzeć na ludy zwycięskie zorganizowane, codziennie, powoli wytrwale, celowo", swą wielkość—złuda

o oczach księżniczki porwanej chwilowo pięknem idei braterstwa i wolności...—Silny Sułkowski odchodzi, nakazawszy ślepe milczenie swoim wspomnieniom, w zwierzeniach jednak poczynionych staremu przyjacielowi Venture, przyznaje, jak brudną jest rzeczą zapomnieć o miłości w życiu jednej.

„Ze wszystkich walk jakie widziałem nie ta jest w istocie najtrudniejsza, walka z chimerą zewnętrzną świata, lecz z chimerą własnej duszy..—U schyłku swojej twórczości stworzył Żeromski typ człowieka silnego, nie potrzebującego obawiać się słabości, jak Judym, ani cierpień w milczeniu jak Rozłucki i Sułkowski, ale wierzący w swój wpływ na wybraną kobietę, towarzysza pracy i obowiazku.

Ryszard Nienaski różni się od poprzedników, trzeźwą postawą wobec pokusy miłości. Patrzy bez jakiegokolwiek pobłażania na świat pracy, biedy, smutku, piękna i blasku. Jeszcze raz zestawił te dwa światy w sobie samym, w swym sercu i wybrał ten pierwszy. Na tej drodze dosięgnąwszy wprost wyżyn obcowania z Bogiem, zdobywa sobie kobietę wierną mu odtąd przez całe życie i poza grób nawet—a dola tragiczna, przeznaczona snać z góry bohaterom Zeromskiego, dosięga go nie w miłości, lecz na placówce pracy, na której pada jak żołnierz obowiązku.

Takimi są bohaterowie Żeromskiego, ci romantyczni rycerze ideału, walczący z majakami własnego szczęścia, wierni wyższemu, wołającemy ich przeznaczeniu. Przychodzą do nas jakby odwołani z dawnych bohaterskich czasów, by stać się jawnym anachronizmem na tle dzisiejszej powojennej, pełnej rozdzwięków i fermentów epoki i słabego, egoistycznego, goniącego za łatwem użyciem, pokolenia.

E. M. ucz. kl. VIII.

Matka.

Dzień pochmurny, w pokoju ciemno, przez okno widać srebrne łzy rozpłakanego nieba...

Ulica zabłocona, co parę kroków napotkasz ludzi, sprzątających błoto. Idę zamyślony i sam nie wiem o czym myślę.

Wtem, do uszu dobiegają mnie słowa: „Synku czyj ty jesteś", drugi—głos dziecinny odrzekł; „mamusi".

Zaciekawiony takim diologiem, odwróciłem głowę i zobaczyłem nędznego chłopca z książkami pod pachą, w butach tak podartych, że koniuszki palców co chwila mówiły „dzień dobry". Ubranko poszarpane, twarzyczka sina, wynędzniała, drgała z zimna i głodu.

Stróż zamiatający ulicę wszczął tę rozmowę i prowadził dalej.

—No, ale jak się nazyważ? — Dziecko wypowiedziało jakieś nazwisko, które dobrze nie usłyszałem.

—To ci matka nie dała dobrych butów? zagadnął stróż.

—Dała mi, rzekło dziecko i chodzę w nich, ale się podarły.

Stróż pokiwał głową nad dzieckiem, wyjął kawałek chleba z kieszeni i dał mu. Widziałem błysk radości w oczach i jakiś żal mnie ogarnął, że nie dałem mu nic.

Chłopiec pobiegł do szkoły.— Zagadnąłem stróża: „cóż, zna pan to dziecko?."

A, juści, że znam, rzekł z niechęcią, ale, panie, jego matka!! Tu głos mu zadrżał z oburzenia.

—To nie matka, dali ta jej w szkole buty dla swego dziecka, nowe, panie, piękniuśkie. Panie matka poszła i sprzedała,—kupiła s are, a resztę pieniędzy przepiła. To matka? to nie matka, żeby ją święta ziemia, — zaklął stróż.

Poczułem straszny wstręt, do tego brudu ludzkiego, a zarazem szacunek i miłość bezgraniczną dla swoich rodziców. Drugie uczucie szarpało serce, głos serca wołał do rozumu: pomocy biednej dziatwie!

Zwiesiłem głowę i rzekłem zgnębiony: słaby jestem, tu trzeba rąk wielu. Dlatego zwracam się do was Koleżanki i Koledzy— zajmijcie się waszymi bliźnimi braćmi, którzy nigdy nie zaznali ciepła matki. Pomyślcie! — wierzę, że od dnia dzisiejszego pomyślicie o biednych „braciszkach". Zapłatą dla Was będą słowa Chrystusa „Kto brata nakarmił, mnie nakarmił".

Kazimierz Kossowski.

Wszystkim Koleżankom, Kolegom, Czytelnikom i Współpracownikom "MŁODYCH PIÓR" NAJSERDECZNIEJSZE

Życzenia Wesołych Świąt

składa

Redakcja i Administracja.

Przeczucie.

Nowelka lotnicza.

Nastał ciepły jesienny wieczór. Warszawa wrzała w oficerskim koszynie lotniczym panował gwar. Byli tu przeważnie piloci 6-tej eskardy odpoczywający po ćwiczeniach. Przy jednym stoliku siedziało dwóch oficerów żywo rozmawiających. Był to Zbigniew Konarski i Władysław Biniewski, porucznicy 6-tej eskardy myśliwskiej. Jak myślisz Zbyszku, czy to wogóle może być możliwe? zagadnął Biniewski.

—Nie, to nieprawdopodobne, przecież zawarlismy z Niemcami pakt o nieagresji.—

—No zobaczysz. Ja Niemców znam.—

Umilkli popijając herbatę. Chociaż już była noc, na dworze jedn k było widno, gdyż księżyc świecił w pełni. Raptem wpadł do kasyna dowódca 6-tej eskarty i krzyknął.

—Panowie wojna! Niemcy przekroczyli granicę! Wszyscy na lotnisko! Porucznik Konarski z trójką swoich samolotów ma objechać Warszawę w obrębie stu kilometrów, gdyż podobno niemiecki samolot linjowy drzedarł się aż w te okolice. Macie go strącić i niezwłocznie wrócić.

—Rozkaz—

Wszyscy piloci szybkimi krokami wyszli z kasyna. Konarski, przybywszy na lotnisko, zobaczył trzy samoloty gotowe do startu.

—Silniki sprawdzone?—spytał się Konarski mechanika.

—Tak jest panie poruczniku. Wszystko w porządku. — Startujemy — zwrócił się do dwóch pilotów mających z nim lecieć.—Gdybyśmy natkneli się na nieprzyjacielski samolot, atakuję sam.—

—Tak jest.—

Wsiedli do samolotów, i pojechali trzy samoloty jednomiejscowe mśliwskie typu P 11 oderwały się od ziemi.

Lecieli już dobre pół godziny. gdy zauwarzyli nieprzyjacielski samolot. Konarski zwiększył obroty śmigi i runął półbeczką z szybkością 400km/godz. w dół. Linki zaczęły wyć, a samolot dygotał pod naporem powietrza. Nieprzyjaciel nie czekając dał serję strzałów lecz chybił. Konrski podleciawszy pod niego zrobił prawie prostopadłą świece i grzmotnął kilka serji kul w kadłub. Następnie przewinąwszy się tuż pod samolotem nieprzyjacielskim ostrym wirażem, zrobił szalony zygzak widząc strzelającego wroga, który przerzuciwszy się na plecy runął zawrotnym korkociągiem w dół, co go jednak nie uchroniło od celnych strzałów Konarskiego. Walka prze łużała się. Zniecierpliwiony tem Konarski rzucił się ku nieprzyjacielowi i już w połowie przewrotu przez skszydło poczęstował go wiązką swoich pocisków. Strzelał w sam środek motoru i widział jak przez chwilę sypały się stamtąd drzazdi.

Samolot nieprzyjacielski zakolebał się i runął w dół, zapalając się w połowie drogi. Konarski przeszedł z wirażu w świecę, którą wywindował się do pozostałych, zniecierpliwionych długą walką lotników Pojechali dalej. Konarski dopiero teraz ochłonął. Był cały spocony, gdyż walka wyczerpała go bardzo. Obleciawszy okolicę Warszawy trójka samolotów wylądowała. Konarski zdał raport z objazdu i walki.

—Gratuluję—rzekł dowódca eskardy—Niech pan pójdzie spać.—

Konarski usłuchał dowódcy i położył się spać.

Nie mógł jednak usnąć. Miał ciągle przed oczypalący się samolot i wykrzywione ze strachu twarze lotników.

—Musiałem—powtarzał sobie, lecz go to wcale nie uspakajało.

Słońce było już wysoko, gdy Konarski wyszedł z mieszkania na lotnisko. Powitali go koledzy, gratulując mu zwycięstwa .

—Ot, masz pokój z Niemcami—rzekł Biniewski

—Musiałeś się dużo z tym Niemcem napracować zagadnął któryś z lotników spostrzegając bladość Konarskiego.

— Et nie, tylko się nie wyspałem.—

—Pysznie się spisałeś.—

—Udało mi się. Innym razem mogę być inaczej.—

—Nie gadałbyś głupstw.—

—Niewiadomo—

—No, no, jeden z najleprzych myśliwców w pułku—Konarski uśmiechnął się smutnie.

W tydzień potem znów Konarski dostał rozkaz, aby sam obleciał Warszawę. Poleciał. Przebył już pół drogi, gdy spotkał trzy samoloty niemieckie.

—Śmierć—pomyślał Konarski,—ale życie sprzedam drogo. Zaczęła się walka. Jeden na trzech. W pierwszych pięciu minutach, lotnik jednego samolotu niemieckiego został zabity celnym strzałem Konarskiego, a samolot pozbawiony obsługi runął jak piorunem rażony w dół. Konarski jednak także otrzymał postrzał w nogę i w bok, Krew mu uchodziła i czuł, że już koniec.

—Nie wytrzymam—pomyślał.

Nagle, jakaś myśl przeszła mu przez głowę. Usta

wykrzywiły mu się jakąś dziką radością. Oczy zamglone upływem krwi zabłysły mu złowrogo.

Pociągnął drążek sterowy silnie ku sobie. Samolot jak zwarjowany zaczął robić zawrotne lopingi. Raptem z lopingu przeszedł samolot w wiraż i z rykiem pól tysiąca K. K. z szybkością 400 km. na godz. wrył się w nadlatujący samolot niemiecki.

Trzask! huk! i straszne kłębowisko śmierci runęło na ziemię.

Jarosław Ościk.

Rola osobnika w środowisku społecznym.

Człowiek pracy, a nie zwykły zjadacz chleba. chcący odpowiednio wykorzystać swoje zadanie, musi ustawicznie współdziałać z innymi ludźmi.

Osobnik taki w życiu swoim styka się z ludźmi prywatnie lub publicznie, bezpośrednio lub pośrednio, przelotnie lub trwale.

Działalność jego może się rozciągać w jednym określonym ugrupowaniu społecznym, albo w większej ilości grup. Wspólnie z członkami danego ugrupowania społecznego formuje i opracowuje zagadnienia, leżące poza treścią — jako też i związane z treścią ugrupowań.

Stąd mamy wpływ — względnie rywalizację jednych grup społecznych z drugimi.

Zorganizowana działalność społeczna, wypływa z fachowości i sumienności osobnika.

Jeżeli jednostka pracuje w swoim zawodzie, zorganizowanie, systematycznie i należycie, to i praca społeczna jej odznaczy się również podobnymi zaletami.

Dlatego też do działalności społecznej należy się przygotować już od ławy szkolnej. Wszystkie organizacje uczniowskie na terenie szkoły (gimnazjum) są jakby praktyką i wskazówkami samodzielnej pracy ucznia, przyszłego działacza w środowsku społecznem.

Jeżeli tu nauczymy się obowiązkowości, sumienności i systematyczności, to przyszłe zadania, łatwo pokonamy.

Musimy mieć na względzie jedno: prawdziwy działacz społeczny, to człowiek świadomy wyników swoich poczynań, wytrwały, otwarty i odpowiedzialny za swoje czyny. Tego uczy go szkoła, a potem solidna, zawodowa praca.

Tylko człowiek, odpowiednio ukształcony, stojący w szeregach ugrupowań społecznych, jasno zda sobie sprawę ze swej roli.

Działacz taki pozna i potrafi się przystosować do woli ogółu.

Wartościowa społecznie jednostka pracuje w organizacji bezinteresownie — dla idei organizacji, a nie korzyści własnych (osobistych).

Może krytykować, ale obowiązkiem jej jest dawanie nowych planów twórczych dla dobra organizacji, społeczeństwa, państwa („Trzeba swoich dopełniać obowiązków aby obowiązywać”—mówi Norwid).

Pracę swoją musi ograniczać (osobnik) tylko w jednej dziedzinie, bo wtedy potrafi teren i zasięg jej dokładnie obiąć i przemyśleć, co zapewni mu pożądany rezultat pracy.

Osobnik w środowisku społecznym powinien mieć na uwadze to, że on reprezentuje nazewnątrz tę organizację, do której należy.

Dlatego, w styczności z ludzmi prywatnie czy też publicznie, czy w rywalizacji jednych grup z drugimi, powinien należycie cenić zdanie przeciwnika jako też i swoje, tak ażeby wzajemna krytyka nie przechodziła w bezsensowne krzykactwo.

Walczymy rezultatami pracy, bo Państwo Polskie takich żąda pracowników.

Żeromski powiedział w „Wiernej rzece” „Polska jest między dwoma młyńskimi kamieniami t.j. Niemcami i Rosją, aby mogła istnieć, musi się sama stać młyńskim kamieniem”.

Nadszedł czas, że Polska stała się młyńskim kamieniem, ale niech ten kamień będzie, tak twardy, aby go nie mogła skruszyć żadna siła.

To spełni się wtedy, gdy każdy **obywatel poski zrozumie właściwie swoją rolę w środowisku społecznym.**

W. Błasiński.

Śmierć Urszuli Kochanowskiej.

Cicho. Cisza i smutek spowiły dwór czarnoleski. Okna pozasłaniane, córki dziedzica małe, zwinne istotki chodzą cicho na paluszkach, służąca biega ciągle do wsi po różne leki, które tylko wieśniacy umieją skutecznie używać. Państwo Kochanowscy smutni i przygnębieni czuwają w dziecinnym pokoiku. Na łóżku dogorywa najukochańsza córka—poetka.

Tyle nadziei pokładał w niej wielki Jan Kochanowski, chciał, żeby ona po jego śmierci oddziedziczyła lutnie ojcowską. W godne ręce byłaby dana. Ter z już nie chce poetki, chce zwykłą, zawsze roześmianą i promieniejącą Urszulę. Ale ona leży teraz na łożu i gaśnie jak piskle małe, bezradne, a on ojciec nie może jej pomóc. Mała twarzyczka otoczona jasnemi lokami, rozpalona i wychudła długą chorobą. Mózg w czasie choroby pracuje więcej niż zwykle, w każdem zdaniu słychać rym i rytm. Urszulka nie chce umierać. Tak jej tu było dobrze przy kochających rodzicach, przy siostrach wesołych i w ukochanym, cichym, spokój i szczęście siejącym Czarnolesiu. Widzi przy łożu smutne oblicza ojca i matki. Poco umiera tak młodo? Ona chce żyć!

A poeta ciężko pochyla głowę. Musi się ugiąć pod ciężarem krzyża, który Pan nań zsyła. On chyba nie przetrzyma tego ciosu. Zapomniał, że człowiek wiele przetrzyma, więcej aniżeli przypuszcza. Skarży się Władcy. Przecież służył Mu tak wiernie i nie pragnie nic, niech tylko ta dzicina mu zostanie. Urszulko nie umieraj, żyj! On ją najlepiej kochał i tyle radości, nadziei i pociechy mu przynosiła, a teraz to wszystko zamknię z nią w trumnie. Nagle dziecko poruszyło się. Rodzice pochylili się nad nią Wyczerpana chorobą nie może nawet rączki dźwignąć. Rozpalona jej twarz zbladła nagle. „Mamo, umieram"! Ojciec ukrył twarz w dłoniach, nie chiał by dziecko zobaczyło, że po jego poważnej niemal surowej twarzy, płyną łzy, łzy żalu, bezradności i cichej rozpaczy. Matka ukradkiem ociera łzy o firankę. I ona nie może wstrzymać się przy „Szczebiotce" i nie okazać jej swego smutku. „Urszylka umiera!" wybiegło z pokoju, „Panienka umiera zabrzmiało w kuchni. Każdy miał łzy w oczach. Kochali ją wszyscy za jej wesołość i dobroć. To było słoneczko które rozjaśniło dwór czarnoleski. I teraz ma jej zabraknąć wśród żyjących? O, czemuż się urodziła zabierając teraz ze sobą wesołość i jasność z Czarnolesia! Siostry nie rozumieją właściwie o co chodzi, jednak widząc przygnębienie na twarzach wszystkich... płaczą. Najstarsza Ewa składa rączki do modlitwy. Wie, że teraz Bóg zabiera jej kochaną siostrzyczkę. A nad łóżkiem Urszuli śmierć rozwinęła swe skrzydła. Nie wzruszają jej zbolałe twarze wszystkich. Pokazał świat ten kwiatuszek, a teraz go zabiera, bo na świecie nie ma miejsca, dla Urszuli. Ona musi przebywać w gronie aniołków i to wybranych przez Pana. „Szczebiotka" widzi zbolałe twarze wszystkich. To po niej tak płaczą. Usta jej poruszają się i z nich wypływa ledwo dosłyszalny szept „Twoja luba córka oblecze się w piórka, z aniołkami siędzie, mamo źle ci będzie mięć swego aniołka?" Przerażeni rodzice pochylili się nad nią Urszulka nie oddychała.

Za oknem rozpościerał swój płaszcz Królewicz Lato. Dywany zbóż pochylały się ciężko i cicho. Lazur nieba był gdzie niegdzie przysłonięty różowawym obłokiem. Lekki wiaterek—zefirek unosił się nad polami i łąkami niosąc radość i ukojenie. Pszczoły-robotnice zlatywały z kwiatu na kwiat w poszukiwaniu złotego nektaru. Złote promienie słońca spływały potokami na ziemię, zaglądając ciekawie do każdego kąta, niosąc z sobą życie i wesele. Wszystko się cieszy, śmieje tylko nie Urszulka bo jej serce stoi i nie dwór czarnoleski, bo z niego uleciało w zaświaty słonko wesołe, promieniejące.

A w ogrodzie lipa szumi, cicho szumi rozpłakana i bezwładnie opuszczonemi ramiona gałęźmi okrywa pusty stół i krzesło. Jak dawno nie siedział tam poeta Jan Kochanowski. Tęskni za nim i za jego córką Szczebiotką. Ona jedna nie wie, że Urszula nikogo nie rozweseli bo leży cicho owiana tchnieniem śmierci. Leży w trumience małej. Rączki złożyła, usteczka rozchyliła jakby kończyła... „mieć swego aniołka?..." Złote promienie słońca całują jej usta, wiatr śpiewa jej pieśń do snu wiecznego przemykając wśród włosów jasnych. Jak śliczny kwiatek nieziemski spoczywa jej główka wśród kwiecia polskich łąk. Lipa zrozumiała. Odurzająca woń jej kwiatów wtargnęła do pokoju przez otwarte okno. Wiatr ustał... Wielkie drzewo znieruchomiało w bólu. Lipa stoi cicho, liście opuściła już cię nigdy nie zobaczy o Urszulko miła.

Ze zbolałego serca ojcowskiego wypłynęły i opowiadając światu jego rozpacz po stracie ukochanej „Treny".

Anna Lisowska kl. II.

„Ars poetika" w gimnazjum.

Migawki gimnazjalne.

Kiedy przed laty Zygmunt Stary pytał Stańczyka, w jakim zawodzie najwięcej ludzi pracuje ten odpowiedział, że w lekarskim. Gdyby jednak mnie zapytano, jakich ludzi najwięcej w gimnazjum odpowiedziałbym bez wahania, że poetów. Tak, muzy szczególnie upodobały sobie nasz zakład i opuściwszy Parnas, zamieszkały na gimnazjalnym strychu, gdzie, miast dymem kadzielnic, upajały się dymem papierosów (obecnie już ich tej przyjemności pozbawiono), i z wdzięczności za przytułek opsypały swemi łaskami wielu kolegów, pobudzając ich do pisania wielkich utworów. Są wypadki, że w jednej jest kilku takich rywali. Lubię się nimi zajmować i dotychczas zdołałem już uchwycić kilka takich typów, z których dwa postaram się teraz skreślić. Niewielka postać o maleńkich oczkach, które, pociągane przez różne przedmioty, względnie osoby nie mogą ustać w miejscu i biegają na wszystkie strony. Włosy zaczesane w górę, a każdy w przeciwną stronę z olbrzymią fantazją sterczący—oto przeciętny typ gimnazjalnego „wieszcza". Postać ta kroczy wolno, jakby ją lada chwila Muzy w niebo unieść miały, o pod nim „ziemia twarda, czarna i ponura wlecze się, niby biała, miękka chmura". Zbliżam się doń i, przepraszając, proszę o udzielenie mi wiadomości o sobie. Źle trafiłem, bo wielki geniusz nie jest szczęśliwym posiadaczem czasu. Z żalem muszę go opuścić i kroczę do drugiego.

Również mały, lecz wyjątkowo przyzwoicie uczesany. Przepraszam go za ściąganie z wyżyn olimpu i trick doskonale mi się udaje. Trafiłem w Achillesową piętę. Przyznaje się, że właśnie snuje mu się dramat, szumny, posuwisty, jak chód naszych koleżanek, że właśnie Pegaz go unosił ponad „szarą podłą ziemię", a Muzy dyktowały mu poema wzniosłe. Pytam go o temat dramatu. Mistrz spogląda na mnie z dołu i odpowiada dumnie: „Natchnienia wyjawiać nie mogę!" Na usilne prośby pokazuje wreszcie swe utwory. Aż mi włosy stanęły na głowie, skorom je ujrzał, bo pismo ma nasz geniusz prawdziwie poetyckie,—więc proszę, by mi to sam zechciał przeczytać. Mistrz raczył się zgodzić i oto—drżyjcie, wszyscy poeci i poetki:

„Pamiętam, kiedy jeszcze byłem mały,
Gdyśmy siedzieli w klasie, jak cymbały
A ponad nami była ciągle trwoga,
A za katedrą widzieliśmy wroga."

Zachwycony, proszę o inny i znów słyszę utwór tak cudny, że niech się schowa Petrarka ze swoimi sonetami miłosnymi.

„Ach, Twój berecik ze srebną literą,
Ach, Twoje włosy rude—„jak hebany",
Ach, na Twój widok już mnie Muzy „biorą"
I snuje mi się wierszyk nieprzerwany.
Ach, Twoje lica, jako woski, białe,
A, jako róża, czerwone i sine,
Fortepianowe Twe nogi wspaniałe—
To wszystko moje są myśli jedyne."

I tak dalej i dalej autor czyta i czyta, nie zważając na to, że bledne i włosy stają mi na głowie na myśl o takim ideale. Chcę uciekać, lecz niestety nogi odmawiają mi posłuszeństwa; siadam więc z ciężkim westchnieniem i słucham nadal (poezjo, ty jesteś tyranem!), wreszcie udaje mi się zwiać. Z radości postanawiam odtąd stosować się do przysłowia: „Jest to cnota nad cnotami—nie wdawać się z poetami."

B. T.

Redaktor odpowiedzialny: Mrg. Stanisław Potoczek. Red. nacz. Lachowski Stefan.
Skład kom. red: Kotas Stefan, Kossowski Kazimierz, Rutkowska Stefania, Wiąckówna Adela.

Drukarnia Fr. Patrasia w Opatowie.